Rok IV.

Nr. 27. Nr. 27.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 4 lipca 1874.

Księgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Od Redakcji.

Z powodu uszczuplenia liczby prenumeratorów upraszamy o jak najśpieszniejsze nadesłanie zaległych prenumerat na ręce p. Ludwika Merzbacha w Poznaniu.

Wszystkie przesyłki i listy do Redakcji i Administracji uprasza się nadsyłać pod moim adresem.

Władysław hr. Chotomski,
redaktor, nakładca i właściciel Tyg. Wielk.

Co mówią o kompozycjach Jana Matejki przytaczani krytycy przez Gazetę Narodową, Gazetę Lwowską i Dziennik Poznański.

Gazety Toruńskiéj korespondent wyszydza nasz sąd o Janie Matejce jako kompozytorze, — wypowiedziany w 1872 r. w Dzienniku Poznańskim, powtórzony w numerze 18 n. p. a przedstawiony jako „Curiosum“ przez Gazetę Lwowską w Nr. 110 r. 1874.

Taż Gazeta w Nr. 126 ogłasza krytykę Francuza Duvergier de Hauranne — obrazu „Stefan Batory.“ Mówi on o kompozycji i duchu tego obrazu między innemi co następuje: Że obraz ten przypomina „pewien realizm brutalny“, przypominający Hogartha; pewne „barbarzyństwo systematyczne“ Gustawa Doré i „humorystyczność“ Viberta, a wszystko razem na ogromném płótnie!... Zamęt ten obraża najpierw oko. Postać króla siedzącego ma w sobie pewną szorstkość pospolitą.

W Dziennika Poznańskiego Nr. 122 p. X. pisze: „Zarzucano obrazowi Matejki „Rejtan na sejmie 1773 r.“ że ścisk osób wypełniających ramy obrazu był tak wielki, iż trudno było zrozumieć dobrze i jasno przedmiot, i że główny przedmiot obrazu, jakby zalany nawałem tłumu, ginął i tonął w tém zamięszaniu barw i postaci.“ Zaraz potém dodaje: „Było w tym zarzucie wiele prawdy, — to dowodzi, że nie wszystko co jest rzeczywistością i prawdą, może być możebném dla sztuki.“ Daléj: „Artysta musi znać, wyprowadzić pewien ład, pewien porządek, jedném słowem — musi wynaleść swój estetyczny moment (sic), bez którego niema obrazu i niema prawdziwego kunsztu.“

„Przeciwny temu zarzutowi szkopuł spotkał Matejkę w obrazie „Stefan Batory“:

„Jak w „Unji lubelskiéj“ tak w „Batorym“ za nadto jest może nie powietrza, ale przestrzeni. Rzecz ta uderza szczególniéj patrzącego kiedy raz pierwszy się znajdzie przed obrazem „Batorego.“ Jest to, że tak powiem, pewien rodzaj pracy i namysłu, jakich patrzącemu potrzeba do wynalezienia głównego przedmiotu, (a zatém jest zawiłość) głównéj chwili, głównego artystycznego momentu dramatu. Ludzie co się czepiają drobnostek (?) przy najważniejszéj figurze obrazu chcieliby trochę więcéj powagi, szlachetności (to drobnostki?!) i jakby wdzięku i szyku w ułożeniu nóg siedzącego może za nisko trochę (nie trochę ale zupełnie) króla. Żółkiewski zanadto zamaszysty, surowéj twarzy, nie dość szlachetności jest w postawie i poruszeniu Possewina. Może to jest i słuszna uwaga. Ale to są zbyt drobne i podrzędne zarzuty.“ (Co? brak szlachetności? powagi?) Jest to zresztą najpochlebniejsza krytyka tego obrazu, któréj jest drogie wszystko co na polskiéj

ziemi wyrosło, któréj nawet i dym rodzinny nie wygryza oczu. — I nam jest drogiém co polskie, ale tu nie można zamykać oczu dla tego, że narodowém jest — na sztukę, na polot myśli. Nam jest droższy bohomaz nibyto Matki Boskiéj Częstochowskiéj, choć jesteśmy kalwinem, niż Madonny Rafaela, ale wtedy tylko, gdy mowa o pamiątce krajowéj — nie o sztuce.

W numerze 126 Dziennik Poznański przytacza sąd Pawła de Saint Victor: „Wady i przymioty ważą się na tém obszerném płótnie. Ale jest zbytek w natarczywości tego rysunku, który nie zważa ani na miejsce osób, ani na blizki albo daleki plan jaki zajmują i to samo przyznaje znaczenie komparsom i bohaterom sceny. Ztąd wynika pomięszanie; tłum, który płótno napełnia, staje się podobnym do natłoku. Należy także wyrzucić malarzowi zbytni przepych w ubiorach. Dramat zdaje się być zduszonym pod akcesorjami. Zasługuje na to, by go z nich uwolniono."

About w XIX Siècle (według tegoż Dziennika Poznańskiego) nazywa ten obraz „machiną", w któréj „ważność i blask tysiącznych szczegółów nagromadzonych szkodzi przedmiotowi historycznemu, zaciemnia układ i ukrywa nam same osoby. Kompozycja jest to mozajka. Potrzeba mi było trzech dni do spostrzeżenia, że rzecz dzieje się pod gołém niebem, w zimie i na śniegu. Typy są jakby portrety rozrzucone tu i owdzie z ram swoich. Nic coby je razem wiązało; można obracać obraz na wszystkie strony jako kalejdoskop; widowisko zawsze będzie ciekawe, zawsze świetne, ale gdybyś przewiózł to dzieło do Wenecji do sali Wielkiéj Rady albo do Rzymu do jednéj z sal watykańskich, zrozumiałbyś, że nie mówię prostego głupstwa (balourdise) utrzymując, że to jest przeciwieństwo obrazu (le contraire d'un tableau). Referent tego nie zrozumiał i dodaje: że nie rozumie co te wyrazy znaczą. Znaczą to, że p. About nie chce téj kompozycji nazwać o b r a z e m, ale na wstępie zaraz powiedział, że to jest „une machine", coś niezrozumiałego i niezgrabnego. I radzimy rzeczywiście referentowi, ażeby sam to dokonał, co radzi francuzkim krytykom: „erudimini, qui judicatis terram", co znaczy po polsku: „ucz się najprzód sądzić — a potém dopiero sądź."

Gazeta Narodowa Nr. 128, 7 czerwca — znowu bardzo korzystnie, bardzo narodowo zaślepioną „Kroniką paryzką" zacnego Michała Akielewicza, podnosi ten obraz, cytuje bardzo pochlebną recenzję obrazu „Stefan Batory" Marjusza Chaumelin. W niéj ten znakomity krytyk zarzuca jak inni co do k o l o r y t u nawet, że jest „wszędzie, na każdém miejscu rozwinięty z nadzwyczajną siłą." Artyzm wymaga zaś stopniowań, siły obok miękkości, światła obok cieni. To wyrażenin delikatne znaczy po prostu, że obraz ten jest pstrokacizną. Tłómaczy to daléj: „trochę cieniu na osoby... wtedy oddalenia wydałyby się na wolniejszém powietrzu i więcéj posuniętemi w głąb'. Życzyłbym sobie, żeby czarna sutanna jezuity, zajmującego sam środek obrazu, otrzymała nieco blasku od świetnych strojów i bogatéj zbroi, która go otacza. Czarny jezuita, tak jak stoi, stanowi d z i u r ę w p ł ó t n i e, jak to zwykle się wyrażają ludzie rzemiosła. Pan Akielewicz tego wyrażenia nie rozumie, widać że mało obcował w artystycznym świecie. Mówi się to o przedmiocie, który nie wystaje z płótna, który nie dostatecznie podłożony, wadliwie za ciemny do otaczających grup świetlanych i który powinien być świetnym. Jest to brak harmonji w kolorycie.

Karól Clement (według p. Akielewicza) pisze: „to dzieło ogłusza (czy tyle jest krzyczącém?). Plany zachodzą jeden na drugi. Całéj scenie zbywa na jedności, na związku, na całości. Figury wyglądają jakby nakładane (przystawiane według nas). Po za środkiem obrazu oko spotyka się na prawo ze żółtą, a na lewo z czarną plamą (dziury). Tony nie są zupełnie dokładne, a światło nie uwydatnia dobrze wszystkich gromad obrazu. Matejko rysuje dobrze; jego wykonanie jest śmiałe i oryginalne, ale bywa též wymuszone, przesadzone, ma nieco dramatyczności brutalnéj."

Tyle wystarczy. Zestawiliśmy naturalnie tylko to, co owo c u r i o s u m nasze popiera, opuszczając pochwały bardzo wielkie co do wykonania i kolorytu w szczegółach. „Batory" jest przepychem ciał i ubiorów — powiedzieliśmy r. 1872 w Nr. 216 Dziennika Poznańskiego — i jak wówczas tak i dziś odmawiamy tylko Matejce „wyższego polotu ducha" i w skutek tego jest niezręcznym w kompozycji. „On jest wyrazem czasowym i zbiorowym poczucia form i kolorytu w społeczeństwie, jakie go otacza, i nie nabył go bynajmniéj „pracą indywidualną", gdyż jest wielu innych malarzów, którzy dłużéj i więcéj od niego pracują, ale nie znajdowali się na tyle wybitném stanowisku narodowo-duchowego życia, nie są skrajną, końcową jego cząstką. Dla tego nie można téż i Matejki ganić, jeżeli w swoich obrazach stoi na stanowisku d u c h o w é m więcéj ścieśnioném, w którém mu jego otoczenie nie dozwoliło się tak rozwinąć jak innym.

A wyrażamy to dla tego, żeby nie sądzono, że wzmiankując niedostatki w kompozycjach Jana Matejki w porównaniu z kompozycjami Marjana Jaroczyńskiego, że radzibyśmy wynieść jednego — poniżając drugiego. Wyszczególniamy ten sąd, bo w naszém społeczeństwie za mało obrobione pole krytyki umiejętnéj i sama nazwa Matejki na najohydniejszéj położona bazgraninie, wywołuje pochwały niemyślących.

Owo „irascibile genus poetarum", do których należą rzeczywiście poeci, adwokaci, xięża, dziennikarze i artyści, ubiega się więcéj o czczą sławę, niżeli rozsądek i rozum nakazują. Ubożyszczanie w téj drażliwéj materji dochodzi do śmieszności. Moda, która pomiędzy nimi panuje, jest często kapryśniejszą, niżeli kobiece stroje, gdyż oni są nerwami czucia w ciele społeczném. Ale artyzm prawdziwy wymaga prawdy i szlachetności. Dopókądeśmy nie weszli na tę drogę, dopóty nie kwitły u nas sztuki piękne. Nie wypływa z tego, ażeby sam artysta był ideałem człowieka, ale musi te ideały mieć w swém otoczeniu i być z nimi duchowo związany. Te ideały właśnie, ujemne czy dodatne, wypychają najbliższe im jednostki na zewnątrz, niby wypukłości na medalu, inaczéj widoczne niżeli ich tło. One to nadają charakter téj bryłce jednolitéj. To powinniśmy zrozumieć, a pojmiemy i naszą towarzyską wartość i potrzebę solidarności."

Tośmy pisali we wrześniu 1872 r. i dziś przypominamy. Nie odmawiamy p. Matejce znakomitości, ale nie uważamy go za mistrza doskonałego, i to mu przytoczeni krytycy powiadają. A skoro uczuje w sobie pan Matejko tę szlachetność, tę powagę, tę dumę (nie pychę) narodową, na których mu we wyższym stopniu zbywa, to uczucia te odbiją się i w jego obrazach — i będzie doskonałym kompozytorem i kolorystą

Wl. hr. Chotomski.

Skarga serdeczna.

I.

Na ziemię spłynął blady cień xiężyca,
Owdzie samotna gwiazda w błękit tonie;
Wśród nocnéj ciszy samotna dziewica
Patrzy ku gwiazdom, załamuje dłonie.

Blada i martwa, jak posąg Nioby,
Z suchą źrenicą, jakby skamieniała!...
Wreszcie serdeczna bólu i żałoby
Skarga jéj w przestrzeń daleką powiała:

„Zapomniał o mnie!... gdy ztęschniona — tyle
O nim marzyłam i marzę jedynie! —
Zapomniał o mnie!... kiedy w każdą chwilę
Smutna myśl moja w jego stronę płynie.

Zapomniał!... woła gwiazdeczka w obłoku,
Zapomniał!... głosi słowik w rzewnéj pieśni,
I zapomnienie w jego czytam oku,
I serce smutne o szczęściu już nie śni.

Zapomniał o mnie... o! boleści cicha,
Ty jak cień nocy do duszy się wdzierasz,
Serce, coś piło z rozkoszy kielicha,
Mętami szczęścia zatrute — umierasz.

Umarłe staniesz przed nim co wieczora
Marą — i w oczy mu spojrzysz promienne,
I straszyć będziesz go nakształt upiora,
Aż zadrżą oczu błękity bezdenne...“

I długo jeszcze nieruchomém okiem
Dziewczyna w gwiazdę samotną patrzała,
A serce drżało pod uczuć natłokiem
I dusza bólem stargana — cierpiała.

Słowik pieśń żalu zanucił w krzewinie,
W oku dziewczęcia błysła łza niedoli.
Płyń, łezko cicha, z nią twój żal niech płynie,
Aż z czasem serce ból, rozpacz — przeboli.

Eloe.

II.

Na ziemię spływa dniowy promień słońca,
Do czynu budzą się ze snu co żywo.
Do przeszłych bólów dolegliwych końca
Wiąże się znowu radości ogniwo.

Bladéj wieczorem — jak Njoba dziewicy
Lekki rumieniec na lica znów spływa.
I dumném okiem obrażonéj lwicy
Rączo z pościeli ku oknu się zrywa.

„Zapomniał o mnie!... Złamał mi swe słowo!
Z uczuć mych świętych — uczynił igraszkę!
Więc ja mu byłam godzinną królową, —
Cackiem, co rzucił niby jaką fraszkę!...

O nie! jam Polką — i kraju podporą! —
Uczucia moje — są zacnych — nagrodą.
Nie! wczoraj — wczoraj byłam tylko chorą,
Dziś jego zdrada jest dla mnie — swobodą!

W ułudy chwili — sądziłam go godnym
Serca i ręki, — czcząc jego nazwisko
Niby Zawiszy! — a on widmém zwodném —
On męża tylko — jest urągowisko!...

Dzięki Ci Boże, żeś mi jeszcze w porę
Odkrył tę przepaść dla życia grobową!
Nie! moje serce było tylko chore,
On mnie niegodnym — bo łamie swe słowo!“

Wtém słońce błysło — i w dumném jéj oku
Brylantem lśniącą — jéj łezkę wypiło,
A serce drżało w jéj uczuć natłoku,
Z uśmiechem rzekła: „Dziwnie mi się śniło.“

Czyż nie snem tylko to — czego pragniemy
A co nie ziszcza się w życia zawodzie?!
Stań się Twa wola! Broń mnie przed podłymi!“
I lśniła twarzą jak róża w ogrodzie.

W. hr. Ch.

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu.

(Ciąg dalszy.)

— Dla niego dosyć może wiedzieć, że ta tajemnica w moim znajduje się ręku, — rzekła z westchnieniem Rozalja. A potém dodała: Gdybyśmy te papiery zniszczyły...

— To w żaden sposób nie godzi się! zawołała Łucja stanowczo. Oprócz że byłoby to przeciwko wyraźnie wyrażonéj woli zmarłéj, ale podług tego co ona w swym liście daje do zrozumienia; mogłoby to na nas wielkie sprowadzić nieszczęście.

— Ja chciałam powiedzieć, zniszczyć je bez przeczytania ich, — rzekła Rozalja. — W ten sposób cała ta rzecz wiecznem pokryłaby się milczeniem.

— Nie, to nieuspokoiłoby nas bynajmniéj, — odpowiedziała stanowczo Łucja. — Nie Rozaljo, najlepiéj postąpić sobie zupełnie podług woli zmarłéj, która zapewne bardzo słuszne miała powody do tego co uczyniła. Jedyne co nam uczynić wypada jest dowiedzieć się, w czyim ręku był ten kuferek i podług tego przedsięwziąść kroki ostrożności.

— Nie pojmuję, jakieby to być mogły, — rzekła Rozalja. — Ale cicho, słyszę zbliżające się kroki mego męża. Zadziwi się, że jeszcze nie udałyśmy się na spoczynek.

— A twoja bladość i wzruszenie zaniepokoją go znów nie mało, — dodała Łucja.

Rozalja otarła oczy, wstała śpieszno z kanapy i zamknęła szkatułkę do biórka.

Tymczasem w przedpokoju dało się słyszeć ociężałe stąpanie hrabiego.

— Cezar, Merlin! wołał na swoich nieodstępnych towarzyszów, dwóch ogromnych brytanów. Potém zapukał do drzwi i zawołał w najlepszym humorze:

— Jeszcze to nie śpisz Rozaljo! Widziałem przechodząc światło w twych oknach. To przeciwko kuracji u wód zamieniać tak noc na dzień. Poczekaj, jutro oskarżę cię przed lekarzem. Lub czy może czekasz na mnie z perorą, że tak długo nie wracam, więc otwórz abym jéj mógł wysłuchać, bo wiem żebyś nie zasnęła

spokojnie, gdybyś nie mogła wypowiedzieć co masz na sercu. To mówiąc wszedł do pokoju i powitał uprzejmie żonę i siostrę. — Wybaczcie — rzekł — że tak późno przychodzę, miałem dziś osobliwsze szczęście w gerilasie, dla tego nie wypadało mi oddalić się wcześniéj od innych. Przytém ułożyliśmy na dzień jutrzejszy z kilku znajomymi, wycieczkę w góry. W lesie zamówiony już obiad u leśniczego książęcego, który obiecał nawet urządzić dla nas salon do tańca. Zabawimy się wybornie. Dałem słowo, że przybędę z wami.

Kobiety spojrzały na siebie w milczeniu.

— Gdybyś odmówiła Łucjo, zasmuciłabyś bardzo pewnego jegomości, który tobą niezmiernie zajęty, — rzekł hrabia obracając się do Łucji.

— Nie wiem kto nim być może, — rzekła Łucja obojętnie.

— Oh, oh, nie udawaj przecież, jakobyś nie wiedziała, że pan dyrektor Strauss kocha się w tobie szalenie. Nie tai się z tém bynajmniéj i dowiadywał się, czy będziesz należała jutro do téj partji.

— Więc już dla tego samego nie możemy się wyłączać, — odezwała się Rozalja, mając na myśli, jak wiele wdzięczności winną była dyrektorowi za wynalezienie kuferka.

A gdy Łucja milczała ciągle, hrabia mówił z uśmiechem:

— Jak to, czy ci ten wielbiciel nie do smaku? Pan dyrektor jest przecież osobą bardzo znakomitą — w jego przynajmniéj mniemaniu — więc i nam w to uwierzyć trzeba, — dodał z uśmiechem.

— Bardzo dziś jesteś żartobliwym, — rzekła sucho Łucja.

— Cieszę się z twojego zwycięztwa, piękna siostrzyczko, — odrzekł hrabia. — Więc pojedziesz z nami choćby tylko z litości dla zakochanego dyrektora?

— Pojadę — odpowiedziała Łucja, — ale jedynie dla tego, że ta wycieczka rozweseli może naszą kochaną Rozalję, i powietrze w lesie wywrze zapewne zbawienny wpływ na jéj osłabione nerwy.

— Dobrze, więc wszystko ułożone. Udało mi się wypełnić pomyślnie me polecenie, — rzekł hrabia. — A teraz dobranoc. Udajcie się niezwłocznie na spoczynek, byście nabrały sił potrzebnych na jutrzejsze trudy.

I hrabia wyszedł. W sieni było jeszcze słychać jego rozmowę z Cezarem i Merlinem; a potém głęboka cisza zaległa w domu, gdzie dwa serca w ciężkiém biły niepokoju. Lecz czy te niepokoje były usprawiedliwione?

III.

Nazajutrz około jedenastéj z rana zatrzymał się pojazd parokonny przed mieszkaniem hrabiego Rikoczy. Lubo najęty, nie różnił się wcale od pojazdów hrabiowskich i tylko blaszka z numerem przymocowana na nim z tyłu, oznajmiała jego przeznaczenie.

Jakiś młody mężczyzna, znać nie poznawszy się na tém, przystąpił do pojazdu i zapytał ciekawie woźnicę:

— Do kogo należy ten pojazd? — Paradne konie.

Woźnica odpowiedział z dumném zadowoleniem:

— To moje własne.

— A... więc to pojazd najęty — rzekł młody człowiek, w ktorym poznajemy znów owego Francuza Juljusza Melville. — Zdawało mi się, że to są konie jednego z moich znajomych. A któż to pojedzie w tym pojeździe? dodał niby od niechcenia.

— Hrabia Rikoczy, który mieszka w tym domu.

— A dokąd?

— Do lasu książęcego, gdzie dziś wielka będzie zabawa, — odpowiedział gadatliwy dorożkarz, rad że mu się sposobność do mówienia nadarzyła.

— Czy jesteś najęty z powrotem?

— A jakże, mój panie.

— Gdyby nie, to byłbym cię zamówił dla siebie, bo ja także pojadę na tę zabawę.

— Żałuję bardzo, ale może na inny raz będę mógł służyć.

— Więc jest jeszcze dzisiaj bezpiecznym, nie myśli o ucieczce, — mruknął Melville odchodząc od dorożkarza, a ironijny uśmiech zabłysnął na jego ustach, osłonionych misternie wymuskanym wąsikiem.

W kilka chwil potém ukazali się na progu hrabiostwo Rikoczy, a obok nich piękna Łucja, wsiedli wszyscy troje do pojazdu i wkrótce konie w szybkim biegu uniosły ich w dal ku górom, które w blasku słonecznym odbijały ciemnym błękitem na dalekim widnokręgu.

Hrabia był w wesołém usposobieniu, Rozalja siedziała smutnie obok niego i spozierała jasnemi, łzawemi oczyma obojętnie na rozwijające się w około coraz to piękniejsze krajobrazy. Na jéj bladych licach widać było ślady łez i nocy spędzonéj bezsennie. I Łucja straciła była swój zwykle tak wesoły humor. Siedziała milcząca i spozierała czasami ukradkiem na brata, jak na kogoś, co go się po długiém niewidzeniu pierwszy raz ujrzało i chce się zaszłych w nim zmian dopatrzeć.

Hrabiego uderzyła może ta zmiana w usposobieniu pań, bo rzekł z niejakąś ironją:

— Tak, tak, moja Łuchno, ta dzisiejsza wycieczka jest to zapewne droga do zaręczyn twoich; zdajesz się bardzo przejętą ważnością téj chwili. Do wylewu uczuć serc kochających trudnoby znaleść stósowniejszego miejsca jak owe cieniste ustronia tam w górach. Wśród cieni niebotycznych dębów i śpiewu słowików serce wzruszone staje się tém skłonniejszém do uczuć miłosnych. Ten pan dyrektor nie w ciemię bity umie uchwycać stósowną chwilę.

Łucja zwykle skłonna do wesołych żartów, dziś odpowiadała na nie obojętnym uśmiechem, brat umilkł i zwrócił rozmowę do wiernych brytanów, spoczywających na spodzie dorożki. Jednakże i to zdawało się nudzić go; wkrótce umilkł i spozierał przed siebie owym martwym, bezmyślnym wzrokiem, który tak sobie różnie tłomaczyć można.

Tak stanęła nakoniec dorożka u celu. Pan dyrektor oczekiwał już przybywających u bram parku książęcego. Można to było uważać nietylko za grzeczność, ale też, że jako intendent dóbr książęcych, miał sobie za powinność zastąpić zbyt prostodusznego leśniczego w przyjmowaniu gości.

Panie wysiadły z dorożki. Łucja zręcznie i szybko wyskoczyła z pojazdu, nie przyjąwszy do pomocy podanéj sobie ręki pana dyrektora, hrabinie pomógł mąż. Pan dyrektor zaprowadził ich do pysznie urządzonego salonu letniego, gdzie już liczne zgromadziło się towarzystwo. Wkrótce znajdowali się wszyscy przy świetnie zastawionym stole, a brzęk noży i widelcy, huk korków od butelek szampana wtórował wesołym śmiechom i rozmowom towarzystwa. Nawet i Rozalja zdawała się zapominać na chwilę o swych udręczeniach, bo wesołość tak jak i smutek są zarażającemi.

Bo też wszystko prześlicznie było urządzone. Stół zastawiony najwykwintniejszemi potrawami, wśród niebotycznych dębów i jodeł, a nad tém jasny błękit nieba za sklepienie. Z po za drzew otwierały się przepyszne widoki na rozległą dolinę, pokrytą pięknie zabudowanemi wioskami, kościołami o wysmukłych wieżycach, gustownemi pałacami i wilami, a wśród tego srebrzysta struga wijąca się wśród łąk kwiecistych. Towarzystwo złożone z ludzi wykształconych, z których każdy starał się błyszczeć rozmową i dowcipem.

Naprzeciwko Łucji siedział pan dyrektor, rzucając na nią ogniste spojrzenia, których młoda dziewczyna unikała bardzo widocznie. W ogóle w jéj obchodzeniu z nim był rodzaj ironji, który mniéj nieco zarozumiałego

wielbiciela byłby niebawem odstraszył, ale nasz pan dyrektor zbyt był przejęty swoją wielkością, aby się mógł był poznać na tém. Im bardziéj wino rozgrzewało mu głowę, tém wymowniejsze były spojrzenia, tém śmielsze słówka wydzierały się z ust starego zakochanego kawalera.

Po obiedzie wspólnym wszyscy pili kawę przy osobnych stolikach. Łucja wyręczała bratowę przy rozlewaniu téjże. Pan dyrektor dopomagał jéj w tém zajęciu, lecz okazało się, iż dla niéj brakowało filiżanki.

— Nie pamiętałeś pan o mnie — rzekła z udanym wyrzutem.

— Przepraszam tysiącznie, — odrzekł dyrektor słodziuchno; — byłem tak oczarowany gracją i zręcznością pani gdy nalewałaś kawę, iż mój rozum uciekł z memi myślami.

— To bardzo niedobrze, — odpowiedziała Łucja, — pan jesteś dyrektorem policji i pozwalasz uciekać własnym myślom. Trzeba je będzie ścigać listem gończym.

— Ale w liście gończym trzeba opisać wyraźnie uciekające indywiduum. Czy pozwolisz pani że to uczynię?

— Słucham pana, — rzekła Łucja z filuternym uśmiechem.

— Kolor zielony jak nadziei, postawa tęskna lecz trwała, kierunek dokąd się udały, przestronne sklepienie kościoła, gdzie stoi ołtarz z zapalonemi świecami do uroczystego obrządku.

— Ah kiedy tak, — zawołała Łucja ze śmiechem, — kiedy myśli pana zabłąkały się do kościoła, to już ich nie można ścigać i karać, bo wszakże w średnich wiekach i dziś jeszcze w niektórych krajach nie wolno karać winowajcy, który się schronił do kościoła.

— Więc pani przebaczasz moim myślom? — rzekł dyrektor z słodkim uśmiechem. — O jak mnie wspaniałomyślność pani uszczęśliwia! O gdybyś pani mogła poznać ogień, który w mém sercu pała! — dodał chcąc uchwycić z uczuciem rękę młodéj dziewczyny, którą ona spiesznie usunęła.

— W téj chwili widzę tylko, że surdut pański tli się! — zawołała Łucja śmiejąc się.

— Tę iskrę łatwo ugasić, — rzekł dyrektor strzepując z siebie z powagą popiół gorący upadły z cygara, — ale gorsza ta co serce pali.

Łucja starała się dać inny zwrot téj sentymentalnéj rozmowie, gdy nagle zagrzmiała huczna muzyka i rozpoczął się improwizowany bal wiejski.

Dyrektor pomimo swych czterdziestu lat z górą tańczył nader ochoczo. Z miną tryumfującą przesuwał się z Łucją wśród strojnych coraz mnożących się par tańczących.

— Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy jak dzisiaj, — zawołał w chwili kiedy posadziwszy Łucję po szalonéj polce na kanapce pod kwitnącą akacją, usiadł obok niéj.

— Tak, są chwile w życiu człowieka... — odpowiedziała Łucja z dowcipnym uśmiechem.

— Które rozstrzygają o całéj naszéj przyszłości — przerwał dyrektor z zapałem.

— Ten frazes nie zgadza się z zdrowym rozsądkiem, panie dyrektorze, — odrzekła Łucja, — bo przyszłość nasza leży w ręku Boga, nie może więc od jednéj zależeć chwili.

— Trudno słuchać zdrowego rozsądku będąc zakochanym, — rzekł dyrektor z głębokiem westchnieniem.

— Lecz cóż rozniecilo w sercu pana takie straszliwe płomienie, że dym ich zaćmił twój zdrowy rozsądek? — zapytała figlarnie Łucja.

— I pani nie domyślasz się tego? O droga pani, — dodał kładąc z wzruszeniem rękę na sercu, — serce które kocha szczerze i prawdziwie, przestaje słuchać rozumu. Wtenczas znikają wszelkie refleksje, rozwagi, bo miłość ogarnia całą naszą istotę. A taką to właśnie miłość czuję dla ciebie pani.

Na obliczu Łucji wystąpił ciemny rumieniec, powstała z miejsca i rzekła z dumną powagą:

— Żałuję bardzo, panie dyrektorze, że byłam niewinną przyczyną iż rozum i serce pana rozminęły się z sobą, uczynię co będzie w mej mocy, aby sprowadzić pomiędzy niemi równowagę.

— Przez wysłuchanie mego błagania, — zawołał ośmielony teraz dyrektor.

— Lub téż przez ofiarowanie tego koszyczka, — odpowiedziała Łucja z głośném śmiechem, podając dyrektorowi mały koszyczek z rogoży, który kupiła była przed chwilą od małéj dziewczynki, roznoszącéj pomiędzy gośćmi te wiejskie wyroby.

Zdziwiony w pierwszéj chwili dyrektor odebrał koszyczek z uśmiechem, lecz spostrzegłszy złośliwy uśmiech młodéj dziewczyny, odrzekł zmięszany:

— Cóż mi po tém próżném naczyniu? Pani wyjęłaś z niego kwiaty, a mnie podajesz nędzną rogoż; lecz i ona może za wzór mi posłużyć, jak można zgiąć a nie złamać.

— Widzi pan jak dobry mój środek lekarski. Już pan znów zaczynasz być dowcipnym.

Juljan Melville przypatrywał się całemu temu zajściu, stojąc opodal akacji ukryty w cieniu leszczyny. Teraz zbliżyła się do nich hrabina i wziąwszy Łucję pod rękę oddaliła się z nią. Pan dyrektor przystąpił w gniewie do małéj dziewczynki, która zbliżała się nieśmiało do niego z koszyczkiem napełnionym woniącemi kwiatkami.

— Kto ci pozwolił sprzedawać tutaj kwiaty? zapytał surowo.

— Ja nie wiedziałam że to nie wolno, — rzekło dziecko płacząc. — Jakiś młody pan posłał mnie tu wprost do pana dyrektora, dał mi na piwo i powiedział, że jeden koszyczek mam podać téj tam pani, a drugi panu dyrektorowi.

Dyrektor zastanowił się.

— Jakiś pan przysłał cię do mnie z tym koszyczkiem? rzekł.

— Tak, jakiś młody pan z czarnemi wąsami.

— I cóż ten pan jeszcze mówił?

— Nic, tylko włożył małą karteczkę pomiędzy kwiatki.

Dyrektor odebrał teraz koszyczek i znalazł w nim na spodzie małą karteczkę, którą z ciekawością przeczytał. Stały na niéj te kilka słów w francuzkim napisane języku: „Oświadczenia miłosne sprowadzają stósunki, po których mógłby nastąpić próżny żal po szkodzie. Głos przestrogi.“ Dyrektor zarumienił się po uszy przeczytawszy to pismo i rzekł surowo do dziewczynki:

— Gdzie jest ten pan co ci to kazał mi podać?

— Już go tu nigdzie nie widać, — odpowiedziała rozpatrzywszy się pomiędzy gośćmi.

— Pójdziemy go szukać w parku dolnym, — rzekł dyrektor i oboje zeszli po darniowych tarasach w stronę, gdzie stał domek leśniczego. Lecz daremne było wszelkie śledzenie; młody człowiek z czarnym wąsikiem znikł bez śladu.

— Kto to u kata być może? powtarzał dyrektor odczytując kilkakrotnie tajemniczą kartkę. — Czy to coś więcéj jak żart jakiś? Czy to dobroduszna przestroga? Czy podszept zazdrości jakiego współzalotnika?... Dyrektor daremnie gubił się w domysłach, lecz tyle przynajmniéj zyskał, że zapomniał na chwilę bólu z wzgardzonéj miłości.

Hrabina Rozalja nagliła do powrotu. Chciano się pożegnać z dyrektorem, lecz nie można go było odszukać wśród tłumu.

Na drodze z powrotem hrabia był dość rozmowny.

— Musiałaś dyrektorowi w czémś dokuczyć, — rzekł do Łucji, — poznałem to po jego zasępionéj twarzy.

— Tylko wyśmiałam go cokolwiek, — odrzekła Łucja wesoło.

— Ciekawy jestem jaki ma być człowiek, którego miłości tybyś nie wyśmiała, — mówił hrabia.

— Musi mnie kochać tak, jak się mnie będzie podobało. Przecież niepodobno aby ckliwe podchlebstwa starego bałamuta mogły na mnie jakiekolwiek sprawić wrażenie.

— Ty doprowadzisz do tego, że wszyscy konkurenci odstraszą się, — rzekł poważnie hrabia, — a wtenczas zmieni się gra, wtenczas ty posłużysz mężczyznom za cel żarcików, jako stara panna.

Hrabia był widocznie niezadowolony z dzisiajszego postępku Łucji.

— Nie zgadzam się zupełnie w tym względzie z moim mężem, — mówiła Rozalja do Łucji gdy powrócili do domu i obiedwie młode kobiety siedziały znów same w sypialni hrabiny, — lecz to jest pewno, że dla nas byłoby rzeczą nader niebezpieczną obrazić tak wpływowego człowieka jak dyrektor.

— Mnieby też to było niemiło, — odpowiedziała Łucja, — te niechciałabym bynajmniéj.

— On zdaje się dość uczuciowy, więc twoje obejście się z nim mogło go boleć.

— On jest tylko niezmiernie zarozumiałym i próżnym, — odpowiedziała Łucja; — rozumie, iż mu się nikt oprzeć nie zdoła, a względem takich ludzi czuję niepowściągnioną chęć żartowania z nich.

— Lecz dla nas okazał się nader uprzejmym. Dopomógł nam do odszukania kuferka, to powinnabyś była uwzględnić kochana Łucjo, — rzekła hrabina.

— Z początku czyniłam to; lecz widząc, że zaczyna w inny sposób tłómaczyć sobie mą grzeczność, musiałam wywieść go z błędu.

— Może masz słuszność Łucjo, lecz mnie ogarnia znowu jakiś dziwny postrach. W naszém położeniu jest najmędrszém nie obrażać nikogo, a przedewszystkiém człowieka tak znaczny posiadającego urząd i który zapewne bardzo jest skłonnym do zemsty jak wszyscy ludzie prózni i dumni.

— A widzisz kochana Rozaljo! a przecież chciałabyś, abym cierpiała natrętność takiego nieznośnego człowieka! — zawołała Łucja i dziewicza duma rozpromieniła twarz jéj żywym rumieńcem.

— Sądzim go może zbyt ostro.

— A ty jesteś zbyt lękliwa i słaba.

— O gdyby nie ta nieszczęśliwa tajemnicza szkatułka! — jęknęła Rozalja. — Ona to czyni mnie tak lękliwą i nieśmiałą, przy każdym roku zdaje mi się, że stąpam po żmijach, które się zbudzą i życie nasze zatrują.

— Lecz cóż znów dyrektor może mieć wspólnego z szkatułką Karoliny?

— Ja nie wiem, lecz dziwne dręczą mnie przeczucia...

— Idź spać, droga Rozaljo! Jesteś cierpiąca i znużona. Jutro wystawi ci się wszystko w innych kolorach.

To mówiąc Łucja uściskała bratowę i odeszła do swego pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W rozwalinach klasztoru.

(Z Szyby szklannéj Anastazego Grün.)

W konfesjonale.

Spowiedzi słucha xiądz w konfesjonale.
Sądząc z lic młodych — wybyście się zwiedli!...
Sercem podobny zimnéj lodu skale
W któréj li błękit nieba się zwierciedli.

Lub do pustyni bez granic ni końca,
Pustéj i suchéj — bez źródeł — bez słońca!
W niéj — piramida — jest Boga obrazem
Samotnym, szarym, twardym, martwym — głazem!...

U nóg mu klęczy dziewica strwożona.
Z serca jéj spada światowa zasłona.
Grzech tam ogródek założył w grzesznicy,
Pełen róż woni i szumu krynicy.

Gdy o rozkosznych altanach szeptała,
Biedny on, — myślał że Wiosna rozsiała
Wszystkie swe róże i przecudne kwiaty
Po jego serca bryle lodowatéj.

Po rozgrzeszonéj odejściu dziewicy
On długo jeszcze dumał w spowiednicy.
Rój kiełkujących myśli go osacza,
Ha!... piramida — chwieje się — i — tacza!...

Rozzieloniona smutna jego puszcza
Z pączków — liść, — kwiaty, — gałązki rozpuszcza.
Sklepiąc się nad nim — altana szeleści
Jakieś mu obce, — przecudne powieści...

Słowik się zjawił w cieniu téj altany
Z gałązki nuci śpiew — nam niezbadany...
To jego serce!... A gdy słowik nuci
Nie wiemy — czy on cieszy się, czy smuci?!...

W. hr. Ch.

Pozorowa klęska nasza, oraz list p. prof. Dr. Józefa Szafarkiewicza i nasza publiczna nań odpowiedź.

Co o naszym wstępnym ataku w celu przywrócenia panowania Opinji publicznéj w naszém nadgniłém społeczeństwie mówią, — to wiemy doskonale...

Darmo! Miłując Boga — walemy bożyszcza!...

Za głośno rzucano na nas potępienie po wszystkich winiarniach i restauracjach lepszego tonu; a nawet po salonach za nerwowo oburzały się i to bardzo zacne damy na naszą „awanturniczość“, „bezczelność“ i t. d. — ażebyśmy mieli tego niedosłyszeć.

Darmo — nie bawmy się już w czułostkowość!...

Ta pokątna wrzawa przy kieliszkach i herbatkach, — to dobry znak!... Bronią tego w co wierzą. To milczenie kamienne prasy naszéj — jest głuchotą najgłuchszych, t. j. tych, co nie chcą słyszeć! To bardzo dobrze!... Sposobią się gromy! Nas one nie dosięgną, a têm mniéj smok ów „zdeptać“ nas może. Owszém on na swym grzbiecie potulnie nas powiezie — kto wie czy nie przy końcu trzeciego kwartału, — da Bóg go doczekać.

Owo biedaczysko, które nas za pieniądze Bractwa Wzajemnéj Adoracji pod firmą M. Łyskowski, Franciszek Dobrowolski, Dr. Łebiński, Dr. Szafarkiewicz et consortes zaczepiło, — niech sobie jeszcze coś grosiwa zarobi, póki pora i póki mu dają!...

My nie zapłacimy żadnego adwokata, bo nam akcjonarjusze nie płacą żadnych pensji, ani nakładów, — ale dumni jesteśmy z ofiar: p. sędziego Antoniego Mora-Morzyckiego z Korony 50 rs. za nasz: „Program“ i „O obowiązkach redaktora“ w Nr. 1; — 2) p. inżyniera Wiktora Zienkowicza w Medjolanie z Litwy, na emigracji od r. 1831, 100 fr. za: „Obronę opinji publicznéj“ przeciw hr. Tarnowskiemu; — 3) tegoż 100 fr. za: „Mądrość słowiańską“ i 4) p. generała Edmunda Taczanowskiego 25 tal. za: „O paleniu ciał.“ — Te 108 talarów lubo tylko szóstą część nakładu naszego wynoszą, lubo tylko pokrywają koszta znaczków pocztowych i korespondencyjnego porto ubiegłego półrocza — są dodatkowém uznaniem naszéj użyteczności ze strony abonentów naszych — i to uznaniem niespodziewaném i nieproszoném. Te 108 tal. przeważają nam moralnie utratę większéj połowy przeszło odpadłych abonentów z tych, którycheśmy mieli na początku drugiego kwartału. Na pocztamtach z 210 pozostało nam 85. To nas nie przestrasza! Opinję publiczną nie liczba, ale jakość głosów stanowi.

Niech sobie Bractwo Wzajemnéj Adoracji tryumfuje swym tymczasowym zastępem! Zwrócą się ku nam olśnieni dziś jeszcze blichtrem i uwiedzeni intrygami naczelników téj kliki, — z których p. Dobrowolski tyle jest zręczny, że zdołał już za nos uchwycić niby w kleszcze nawet takiego Henryka Szumana i Władysława Wierzbińskiego, nawet takich Eustachego Rogalińskiego i A. Lwa Sołtana i t. p. i ci mu tańczą, jak on im zagra!...

Nam wynagrodzi owe szmery pokątne jeden list otrzymany z Krakowa z dnia 23 czerwca, z którego ten ustęp wyjmujemy. Głos to pożyczany, niespodziewany już dziś, — ale tym głosem do nas przemówi: Opinja publiczna — i to niezadługo!..

„Nie mogę się powstrzymać od powinszowania panu odwagi niesłychanie dziś rzadkiéj wśród naszego społeczeństwa... (wystąpienie to) zjednało ci tu wielkie uznanie, stokroć cenniejsze, że podejmując wojnę z tak przemożną kliką Poznańską, narażasz się na tysiączne napaści, które życie zatruwają... Libelt odwagę cywilną wyżéj stawia nad odwagę wojenną, bo: „„mężowie (są jego słowa) co się na ten bój poświęcili, têm bardziéj uszanowania godni, że są prawdziwymi cnoty obywatelskiéj męczennikami. Rzadko ich czekają laury i wieńce, zdobiące czoła zwycięzców wojskowych. Nagrodą ich najczęściéj: niełaski, ubóztwo, jeżeli nie więzienia i katusze.““ Za Libeltem téż panu powtórzę: „Cześć Wam, cześć po wszystkie pokolenia, święte ofiary, coście się umieli zaprzeć siebie, wzniosłą cnotą podnieść godność człowieka do godności bóztwa i poświęcić się za naród, za ludzkość, za światło, za prawdę i wolność.““

Ach jakby u nas w Krakowie zdał się podobny panu apostoł prawdy, żeby strącił z piedestału cnoty niejedną podłotę, lecz nawet organu nie ma takiego, coby zechciał przyjąć w swoje łamy głosu prawdy. Byle się nie narażać wielbi się publicznie ludzi, którzy tylko wzgardy są godni, a mów, — a tłómacz, na całe gardło bez obawy, — że ten lub ów podlec, okrada grosz publiczny, oszukuje wszystkich, — nic to nie pomoże. Powiedzą: to intrygi, to osobiste urazy, on porządny człowiek, — ma pieniądze i znaczenie! Trzeba aż się kielich podłoty przebierze, kiedy już prokurator sądowy przed kratki pociągnie owego szanownego męża, dopiero przyznają słuszność słowom prawdy. W tym względzie „Dziennik Polski“ we Lwowie ma wielkie zasługi. Nie jest on bez ale, lecz łajdactwo ściga w jakiéjkolwiek ono sukni. Świeżo przybyła tu pewna osoba z Poznańskiego opowiadała mi okropne rzeczy o owéj niegdyś ze solidarności słynnéj Wielkopolsce! Dziś Galicja może sobie z chlubą powiedzieć, że jéj 100 lat niewoli austrjackiéj tak nie popsuło, jak przez lat kilka jezuici Poznańskie“*).

Gdy przyjdzie czas — wymienię osobę z imienia, nazwiska i stanu. Dziś byłoby to niebezpieczném dla tego znakomitego męża. Dziś podpisany za te słowa jest odpowiedzialnym. Nie badajmy zresztą kto mówi, lecz co kto mówi.

Wolimy imiennie wymieniać tych, których się obawiać mamy powody. Dotąd — rugowaliśmy ogólnikowo nasze niecnoty. Najbezczelniejsi ludzie porywali tak zformułowane gorżkie prawdy i nagany i pluskając temi piętnowaniami podłości, próżności, tchórzostwa po zgromadzeniach na wiatr, — osłaniali te właśnie swoje niecnoty, temi frazesami, — które do nich się właśnie stósowały najzupełniéj. Powtarzanie n. p co chwilę: „Jam poczciwy człowiek“ — „w moją poczciwość przecież nikt nie wątpi“ — pana Franciszka Dobrowolskiego jakoś mi tę poczciwość jego nieco w podejrzenie podało. W naszéj broszurce „Sprawa teatru“ wyprowadzony kon (fakt) z pułkownikiem Callierem wystarczy — na zachwianie wiary w tę „poczciwość“ pod względem kierowania opinją, co czyni p. Dobrowolskiego niebezpiecznym.

Dla nas to dostateczném — na teraz, — że zwrócimy tylko na ten punkt uwagę wplątanych jak Piłat w Credo zacnych osób, w sidła Bractwa Wzajemnéj Adoracji Poznańskiego. Czas resztę wyświeci.

Otóż zaczepieniem z imienia i nazwiska osób zajmujących publiczne stanowiska wyrywamy im tę broń z ręku, któréj na tych stanowiskach nadużywają. To brutalne zdzieranie masek przeraża ludzi słabego ducha i niepewnego charakteru. Może nabawić wielu nieprzyjemności i ludzi najzacniejszych nawet, — lecz jest sto tysięcy razy lepszém od pokątnych oszczerstw. Dziś przyznają wszyscy, że „Parafjańszczyzna“ Leszka hrabiego Borkowskiego stanowi epokę w poprawie moralnego życia na wielkim galicyjskim świecie. W satyrze téj pod pewnemi nazwami charakterystycznemi przeglądało nazwisko i imię osób naczelnych powszechnie znanych.

Obwijanie takie prawdy w bawełnę jest poniekąd pół-tchórzostwem, a têm niebezpieczniejszém, że rzucać może cień na zupełnie inne zacne osoby. Daje to pole dla wyzyskiwania intrygantom. Jeszcze i to jest niebezpieczniejszém — niż otwarte wypowiedzenie tego co się myśli, wie lub od wiarogodnych osób słyszało. Ztąd bez względów żadnych, skoro nam się coś złego sumiennie dojrzeć uda, — wolimy bez ogródki zapytać się — jak się to ma? — a w razie twierdzenia — powiedzieć wręcz powody, dla których tak a nie inaczéj twierdzimy.

Wymieniliśmy prof. Dr. Szafarkiewicza nazwisko w naszym numerze 25, str. 194, umieszczając jego jako czynnik „w drugiéj koterji spekulantów na grosiwo.“ W skutek tego otrzymaliśmy od niego list następujący:

*) Nie zgadzamy się z têm, bo jezuici, a raczéj jezuityzm jest wyrobem, wrzodem społeczeństwa, — i nie wrzód winien — że panuje na powierzchni, ale ciało które go wyłania.

Przyp. Red.

Poznań 22. 6. 74.

„Kochany Redaktorze.

Wczoraj na majówce czerwcowéj Towarzystw Przemysłowych w Gnieźnie opowiadano mi, żeś w piśmie swojém zaczepił osobę moją. Jeżeli tak jest, to wzywam Cię i proszę na mocy wieloletniéj naszéj życzliwéj znajomości, abyś mi piśmiennie, albo lepiéj ustnie wyjawił motywa, które Cię spowodowały najspokojniejszego z ludzi, za jakiego ja siebie uważam, zaczepić.

Przyjacielskie pozdrowienie.

Szafarkiewicz.

Wrocławska ulica 9.“

Na to zawezwanie odpowiadamy jak następuje:

Do Wgo Dr. Józefa Szafarkiewicza.

Poznań 23. 6. 74.

Mój Józefie!

List Twój wczoraj mnie doszedł. Tak jest! Ciebiem zaczepił, boś opętany szatanem zysku, nabroił wiele złego.

Jedną z najwalniejszych — i najpierwszą przyczyną upadku banku Tellusa, wraz z Twym serdecznym przyjacielem Berendsem jesteś Ty.

Wyzyskiwanie Twe w sprawie przez Ciebie wykombinowanéj cementu fabrykacji i założenia cegielni, tkwi dziś w pozycjach tego banku jako przepadłość w ilości stu kilkudziesięciu tysięcy talarów.

Swojemi operacjami, które Tobie na korzyść wypadły, o małoś nie zgubił bardzo ważnéj dla nas instytucji kasy pożyczkowéj. Pfitzner — mówiono mi — grubo przypłacił swą kieszenią to wyplątanie się Kasy pożyczkowéj z Tellusowéj klęski, — i ledwo uratował swym kredytem i ofiarami tę instytucję w krytycznéj chwili, — gdyś Ty, jéj prezes, wyjechał sobie do Wiednia na wystawę — dla swéj przyjemności.

Tego Ci nikt może nie śmiał powiedzieć, — ale Ci zaręczam, że w ogóle nawet między tutajszymi żydami i Niemcami w Twojém jak i w Twego brata Dr. Juljana, adwokata, nazwisku, zamieniają *f* na *ch*. Spytaj się kogo chcesz z uczciwych ludzi, — pokaż im ten mój list, — a przekonasz się — że Ci prawdę mówię.

Osobiście nie mam do Ciebie żadnego żalu, — owszém lubiłem Cię, — szanowałem Twą wiedzę; — a z Twym bratem żyłem nawet w przyjaźni i nie widziałem go od lat dwudziestu przeszło. Nigdym nie bywał u Ciebie, bo oprócz szkólnych czasów losy nas nie zbliżały nigdy, — i ani Ty mnie, ani ja Ciebie nie poczęstowaliśmy się wzajemnie nawet szklanką wody. Więc miałem i mam nawet dla Ciebie pewną sympatję najbezinteresowniejszą.

Ale żeś jest najniebezpieczniejszym z ludzi tych, których jako zły przykład stawiam, — tego Ci nie taję. Za ciężkoś przewinił Ojczyznie czyli społeczności naszéj złym przykładem, ażebym Cię mógł pominąć. Usprawiedliw się jeżeli możesz. Chętnie zostanę oszczercą, bo z nas dwóch możesz być użyteczniejszym krajowi, mając odemnie więcéj zdolności, — znaczne środki finansowe, — wpływ i poważanie w mieście pomiędzy rzemieślnikami, którym pozwalasz się dorabiać, — i jesteś bardzo lubianym w bardzo zacnych towarzystwach. Czarujesz po prostu ludzi — swym dowcipem! Jeżeliś niewinnym — tém świetniéj staniesz po oczyszczeniu się ze zarzutów, — ja spadnę o tyle niżéj.

„Nie dbaj choć zła wieść o tobie gruchnie,
Kto nie je czosnku — ten nim nie cuchnie“

mawiał Żeglicki.

Jeżeliś winny, sprawdzi się co orzekł Anzelm Gostomski: „Przeciw prawdzie rozumu nie ma.“

Jeżeli w téj walce stracisz cześć, — tożeś na nię nie pracował, — a grosz za którymeś gonił, zostanie Ci w całości.

Mnie idzie o tych „głupców“, których wyśmiewano, gdy ich golono, — o takiego Platera, na którego dziś wszyscy błotem rzucają, a który z Twéj przyczyny, — widząc Twe powodzenie, został z oszukanego oszukującym. Mnie więcéj bolą łzy rodzin, które w nędzę popadły przez upadki banków Tellusa, Małeckiego, Śniechoty, — przez bankructwa Bogusławskiego, Zielińskiego poczciwego, który się na śmierć zamartwił, — niż o Twą grzeczność i Twe bardzo miłe towarzystwo. — Jesteś prezesem Towarzystwa przemysłowego, prezesem Kasy pożyczkowéj, — a więc jesteś mężem dla nas publicznym — i jako do takiego publicznie przemawiam.

Zostań prywatnym człowiekiem, baw się lichwą nawet, oszukuj nawet prywatnych — nie będę się odzywał przeciw Tobie.

Prawnie może Ci nie będę mógł udowodnić nieuczciwości, choć większość pokątnie Cię o to obwinia. Zaskarz mnie! Przegram. Ale i wtedy jeszcze Opinja publiczna powie za mną, żeś nie szedł drogą prawych synów Twéj nieszczęśliwéj Ojczyzny. Masz czas pokuty i sposoby naprawienia choćby w cząsteczce złego, — bo Ci Bóg dał wielkie zdolności i znaczne środki.

Oto dla tegom Cię zaczepił i zdemaskował, tém śmieléj, że nie ma tu drugiego coby się na to odważył, a co jako niesłychanie niebezpieczne mi przedstawiano i zaklinano mnie, ażebym tylko Ciebie nie naruszał, — bo Ci pod żadnym względem nie sprostam. Ja nic nie mam za sobą — oprócz wiary, że to com Ci powiedział jest prawdą — i że zedrzeć Ci Twoją patryjotyczną maskę, z któréj sobie drwisz, jest moim obowiązkiem. Rób co chcesz. Ja Ciebie się najmniéj lękam, — bo Ciebie z wszystkich tu najlepiéj i osobiście ze szkólnych ławek znam.“

Dotąd mniemano, że się powoduję osobistością. Jabym ojcu swemu, — bratu nawet — to co Tobie powiedział — gdyby oni byli w Twém stanowisku, — bo mi nie chodzi ani o osobistą wolność, ani o osobiste zyski, — ani o czczy rozgłos, — ale mnie pieką łzy tych, co padli ofiarami Tellusa, któryś podkopał; — ale mnie boli nędza rzemieślników, którymeś tysiącami brał z Twą szajką — talary, — gdyście mieli w kasie pożyczkowéj na to pieniądze — ażeby setkami talarów tylko wspierać biednych naszych przemysłowców, — a wyście mając już co jeść — o sobie pamiętali — z krzywdą drugich!.. Dla tegom Cię zaczepił.

Wł. hr. Chotomski.

— W następnych numerach podamy oceny z nadesłanych nam książek:

Krasucki Michał: „Rzut oka na układy planetarne, przyszłość człowieka i ziemi.“ Lwów, 1874. Karól Wyld. 8o, 63 str. Cena 60 centów.

Padura Tymko: „Pyśma.“ Wydanie posmertne z awtokrafów. Lwów, 1874. Karól Wyld. 8o, 420 str.

Pawlicki Stefan: „Mózg i dusza.“ Wydanie drugie. Kraków, 1874. Dr. Wł. Miłkowski. Wydawnictwo dzieł katolickich; w 16ce, 122 str.

Mieczkowski Domicjan: „Sielanki Ziemianina polskiego.“ Lwów, 1871. Nakład autora. 16o, 231 str.

Żebrowski Oskar: „Architectonique universelle ou système des réalités de l'univers et des sciences qui leur correspondent, formant l'introduction à toutes les encyclopedies.“ Paris, 1873. Gauthier-Villars (Malle Aachelier). 8o. 149 str.

„Bibljoteka Mrówki“ doprowadziła do tomiku 34. Tomik 33: **Jan Kochanowski**: „Treny.“ Cena 12 groszy polskich. — Tomik 34: **Ignacy Krasicki**: „Bajki.“ Cena 36 gr. pol. — Tomik 26: **Juljusz Słowacki**: „Ojciec zadżumionych“ wyszedł w drugiém wydaniu. Cena 20 gr. pol.

Zbytecznem zwracać uwagę na to tanich a wyborowych dzieł wydawnictwo, już tyle razy zaszczytnie oceniane.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarniach J. K. Żupańskiego i K. Reyznera.